

— Pani wyglądać bardzo zmęczona, mademoiselle — zaczął, spoglądając na nią badawczo.

— Za bardzo zawierzyłam mym siłom — przyznała Peggy. — Na szczęście zbliża się już post, wypocznę więc doskonale i nabiorę znowu sił.

— To bardzo męczyć, wychodzić co dzień wieczór, a także i w dzień — przyświadczył Morny. — Ja nigdy nie widzieć tak *vive saison*. Ale ja kochać to. Czuję się tak rzeźki, jak ptak.

— Jak co? — zapytała Peggy, nie rozumiawszy.

— Jak ptak — powtórzył Francuz z zadowoleniem. — Jestem bardzo szczęśliwy dzisiaj, gdyż *Madame votre grand mere* dać mi pozwolenie powiedzieć pani, że ją bardzo kocham.

Serce Peggy zabiło gwałtownie; zmiała nerwowym ruchem chusteczkę, trzymaną w ręce.

Morny przerwał swą przemowę, gdyż w tej chwili wszedł do pokoju Hurley, przynosząc z uroczystą miną zastawę do herbaty.

— Czy pani chce dać mi trochę nadziei? — prosił gorąco, skoro tylko Hurley zniknął za drzwiami. — *Mon coeur*, uwielbiam panią! Nie mogę żyć bez pani!

Wzburzony Francuz pochylił się szybko, pochwyił drobną rączkę Peggy i począł namiętnie okrywać ją pocałunkami. Uczynił to tak szybko, że Peggy nie zdołała ręki na czas cofnąć.

— Monsieur, monsieur, pan za bardzo się spieszy! — zaprotestowała. — Pan zapomina, że na balu otwarcie powiedziałam, że gotowa jestem wysłuchać oświadczyń pana i... kilku jeszcze przyjaciół, ale pod warunkiem...

— A ten warunek jest, mademoiselle?

— Że znajdziecie prawdziwego mordercę pani Trevor.

Żrenice Morny'ego zwały się nagle gwałtownie. Mimowoli przebiegł Peggy zimny dreszcz przez plecy, kiedy spojrzała mu w oczy.

— A wtedy... co, mademoiselle? — zapytał powoli.

— Wtedy gotowa jestem wysłuchać wszystkiego, co pan zechce powiedzieć. A teraz proszę pana... służę filiżanką herbaty! — Ujęła w palce szczyptę do cukru. — Jeden czy dwa kawałki, hrabio Morny? O! babunia! — zawołała ucieszona, witając wchodzącą matronę. — Właśnie na czas przychodzisz, aby z nami wypić herbatę.

ROZDZIAŁ XVII.

Z drugiej strony Potomacu.

Dik wysłał pospiesznie sprawozdanie o pobycie księcia Y... do zamiejscowej gazety, zjadł coś na prędko i o godzinie ósmej spokojnie siedział już przy pracy w redakcji „Staru”. Około godziny wpół do dziesiątej wezwano go do szefa.

— Jeszcze nigdy w niedzielę nie wydarzyło się tyle wypadków, co dzisiaj — zamruczał na powitanie redaktor Byrd. — Pan zna pewnie dyrektora szpitala św. Elżbiety dra Gibsona?

Dik przytaknął głową. — A więc, musi pan jak najprędzej tam się udać i spróbować zrobić z nim wywiad. Właśnie dowiedziałem się, że dwóch ludzi, których zamknięto w zakładzie, jako chorych na manię prześladowczą, przed godziną umknęło ze szpitala. Cała okolica jest przerażona i ludzie boją się wychodzić z domów. Niech pan zbierze dokładne informacje do dłuższego artykułu.

Państwowy zakład dla obłąkanych pod wezwaniem św. Elżbiety wznosi się z drugiej strony promenady Nicholasa za Anachostią, przedmieściem Waszyngtonu, które oddziela od miasta odnogą rzeki Potomacu. Ma ona piękny park, z którego roztacza się wspaniały widok na cały Potomac, jego zakręty, miasto i okolice. Nawet w lecie dosyć trudno tam się dostać. To też wyprawa w wieczór zimowy przedstawiała się bardzo mało pożądaną, a dik wybierał się w drogę bardzo niechętnie.

W kilka godzin potem znajdujemy go zmęczonego i wyczerpanego na rogu ulicy Sherridan i promenady Nicholasa, szukającego w bramie jakiegoś domu schronienia przed zimnym wiatrem. Nie tylko udało mu się zrobić wywiad z dr. Gibsonem, ale brał także udział w pościgu za zbiegami i był przy

ich ujęciu. Teraz zaś czekał na tramwaj, który odchodził z pobliskiego przystanku o godzinie pierwszej minuty osiem. Kiedy tak stał, wtulony w kąt bramy z podniesionym kołnierzem, dygocąc z zimna, zauważył jakiegoś mężczyznę, który spieszył w stronę przedmieścia.

Właśnie naprzeciw kryjówki Dika zatrzymał się nieznajomy, wszedł w bramę i usiłował zapalić papierosa, zasłaniając obu rękami płomień zapalnika. Jasne światło padło na nieznajomego, a w tej samej chwili dik cofnął się szybko do swej kryjówki i ze zdumieniem patrzył na niego. Z wzrastającym zaciekawieniem obserwował, jak nieznajomy, zapaliwszy sobie papierosa, pospieszył szybko dalej. Co robił Alfred Clark o tak późnej godzinie w tej stronie?

Dik wahał się. Bezsprzecznie było jego obowiązkiem, powrócić ze sprawozdaniem do redakcji, ale tajemnicze zachowanie się Clarka rozwiło wszelkie jego skrupuły.

Nacisnął miękki kapelusz głębiej na głowę i wysunawszy się ostrożnie z niszy wchodowej, zaczął śledzić Clarka. Ten szedł spieszenie tą samą drogą,



Mógł doskonale zajrzeć do środka.

jaką dik właśnie co przybył. W ten sposób minęli szpital, a Clark ciągle dążył naprzód; wreszcie wyszedł już poza obręb ostatnich domów przedmiejskich, skręcił następnie na drogę polną, idącą ku rzece. Przeskoczył płot, a potem ruszył przed siebie na przełaj przez pola. Dik musiał daleko w tyle pozostać, aby go Clark nie spostrzegł; kiedy zaś po chwili dostał się na wierzchołek wzgórza, spostrzegł nagle, że Clark zniknął. Zawiedziony i zły, szedł jeszcze kawałek drogą przed siebie, a następnie zaczął rozglądać się uważnie po okolicy, w jakiej się znajdował. Człowieka, którego tropił, nigdzie nie było widać. Dik oparł się znużony o płot i postanowił wracać.

Bezradny wobec zniknięcia swej ofiary, rozejrzał się jeszcze raz po okolicy i dostrzegł trzy olbrzymie drzewa, które niedaleko od niego rosły, tworząc trójkąt. Szybko wyprostował się. Teraz wiedział, gdzie się znajduje. To były przecież owe topole, którym on sam nadał przydomek „trzy siostry”. Rosły one w pobliżu fermi, którą kupił jego przyjaciel, sławny Allan Dorsey. Stamtąd roztaczał się wspaniały widok na całą dolinę rzeki. Dorsey urządził sobie tam atelier malarskie, w którym nieraz pracował całymi tygodniami w zupełnym odosob-

nienu, a dik był jedynym, który miał prawo odwiedzać go tam o każdej porze.

Atelier! Tu tkwiło rozwiązanie zagadki. Tam z pewnością udał się Clark. Czego jednak szukał ten sekretarz pana Trevora o tak późnej godzinie w tem, tak ustronnem miejscu?

Jedną jedyną drogą prowadziła do rozwiązania zagadki i tę dik wybrał. Powoli zaczął skradać się do starej stodoły, którą zamieniono na olbrzymie modnie urządzone atelier. Ostrożnie podszedł pod sam budynek. Ciężkie drewniane okiennice były pozamykane, ale kiedy dik przyłożył ucho do drzwi wchodowych, usłyszał wyraźnie, że wewnątrz ktoś głośno rozmawia.

— Allan jest w Paryżu, nie on więc jest wewnątrz. Muszę stanowczo zbadać, co się tutaj dzieje! — pomyślał dik i począł zastanawiać się, co ma zrobić.

Zamieć śnieżna ustała na chwilę, a także i wiatr się uspokoił. Naraz wzrok Dika zatrzymał się na górnym oknie, które Allan kazał umieścić w dachu, aby uzyskać lepsze światło. Jeśli mu się uda do stać się do tego okna, będzie mógł doskonale obserwować, co się wewnątrz dzieje. Myśl i czyn były jedną chwilą; dik zapalił się i był zdecydowany wykonać swój plan bez względu na następstwa. Zdjął płaszcz i buty, ukrył je w pobliskim krzaku, poczem zaczął wspinać się na drzewo, rosnące tuż koło budynku. Długa gałąź zwieszała się nad dachem atelier. Po chwili zawisł całym ciężarem na niej, mimo, iż obawiał się, że spadnie, gdy gałąź jego ciężaru nie wytrzyma. Była to jednak jedyna droga, którą mógł ziścić swe zamysły. Powoli posuwał się po gałęzi, aż znalazł się niedaleko komina. Wtedy obsunął się z wielką ostrożnością na dach.

Po cichutku podszedł na czworakach do okna i począł w ciemności obmacywać szyby. Z radością poczuł pod palcami, że jednej szyby brak. Pomalutku wsunął prawą rękę przez otwór i dotknął się rozpiętej pod spodem żaluzji płóciennej. Mógł widzieć dokładnie, że po bokach zasłony przedzierały się z wewnątrz promienie światła. Ale on chciał widzieć i o ile możliwości słyszeć. Powoli wydobył z kieszeni szczyty i wyciął w zielonej materii otwór. Podsunął się potem tak daleko naprzód, że mógł doskonale zajrzeć do środka.

To, co zobaczył, przestraszyło go trochę. Właśnie pod nim stał niewielki stół. Wokoło siedziało czterech zamaskowanych mężczyzn. Głosy ich w zamkniętym pokoju dochodziły bardzo wyraźnie do niego. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu przekonał się po chwili, że wszyscy mówili po włosku. Język ten znał bardzo dobrze, gdyż nauczył go się, przygotowując się do kariery dyplomatycznej.

Najmniejszy z czterech, siedzących na dole, postawił na stole czworogranne pudełko.

— Ciągnijcie — rozkazał ostrym głosem — kto wyciągnie naznaczoną kartę, tego związek wyznacza na mściciela.

Jeden po drugim wsuwali rękę w otwór pudełka i w milczeniu wyciągali po jednej karcie; oglądali je z obojętną miną. Z spokojnych ich poruszeń nie mógł dik zrozumieć, kto wyciągnął straszną kartę.

Nasz plan jest już więc gotów — rozpoczął znowu mały — który widocznie przewodził zebraniu.

— Mamy zapewnione zupełne powodzenie. W tym kraju wolności możemy my, synowie Kamory, wykonywać śmiało zemstę na tych, którzy stają na zawadzie naszemu towarzystwu. Książę Y... był na tyle śmiały, że prześladował niektórych członków naszej bandy. Związek postanowił więc jego śmierć. Za pięć dni, licząc od dzisiaj, odbędzie się poświęcenie pomnika Lincolna, w którym wezmą udział książę Y..., prezydent, wszyscy przedstawiciele rządu i cały korpus dyplomatyczny. Lepszej sposobności trudno wyszukać. Środki i sposoby ma wybrać szczęśliwy posiadacz znaczonej karty. Pamiętajcie więc o miejscu i... o godzinie!

(Ciąg dalszy nastąpi).